

Stanisław Lem „Kongres Futurologiczny”

Paweł Kozioł, maj 2011

Tekst ukazał się na portalu culture.pl

Początek „Kongresu futurologicznego” miał swój pierwodruk w czasopiśmie humorystycznym „Szpilki” w roku 1970 pod nieco innym tytułem („Kongres futurologów”), całość – w zbiorze opowiadań „Bezsenna” w 1971.

O rok późniejsza antologia „Kroki w nieznaną III” powtórzyła wersję krótszą.

Narratorem i głównym bohaterem tego dłuższego opowiadania jest znany z „Dzienników gwiazdowych” Ijon Tichy. Bierze on udział w Ósmym Światowym Kongresie Futurologicznym, obradującym nad przeludnieniem i zbliżającą się katastrofą demograficzną. Kongres ma miejsce w warunkach tyleż luksusowych, co groteskowych i niestabilnych – w hotelu Hilton w stolicy wstrząsanej rewolucją republiki Costaricany. Stan zagrożenia jest w tym świecie normą, na co wskazuje choćby zastane przez Tichego wyposażenie pokoju hotelowego – obok zwyczajowych luksusów trafia on na latarkę oraz zwój liny, mające ułatwić ewentualną ewakuację. Dodatkowy smaczek sytuacji stanowi fakt, że równolegle odbywa się Kongres Literatury Wyzwolonej, to jest de facto pornograficznej, a Stanisław Lem ironizuje na temat diametralnie przeciwstawnych celów obydwu spotkań.

W pokoju hotelowym Tichy, po wypiciu wody z kranu, ulega osobliwemu zatruciu substancją skłaniającą do nadmiernej miłości bliźniego. Ratuje się przed zalewem tego uczucia, policzkując samego siebie i kopiąc się po kostkach. Sytuacja ta stanowi jednak zaledwie przygrywkę do pandemonium, jakie rozpętuje się później – w walce z rebeliantami rząd Costaricany na wielką skalę używa podobnie działających gazów halucynogennych. Tichemu udaje się co prawda zdobyć maskę gazową i wraz z paroma innymi uczestnikami kongresu schronić w kanale ściekowym, jednak zabezpieczenia te jedynie spowalniają proces pojawiania się objawów. Tichy wielokrotnie myli narkotyczne wizje z rzeczywistością w sposób tyleż groteskowy, co niebezpieczny. Pół biedy, gdy obserwuje osiodłane szczury grające w brydża – prawdziwe problemy pojawiają się, gdy celującego w niego żołnierza traktuje jak halucynację. Tichemu, mimo heroicznych wysiłków, nie udaje się zachować kontaktu z rzeczywistością. Ostatnia seria zwidów, dotycząca wypadków i przeszczepów mózgu Tichego do innych ciał, czyni z niego nieuleczalnego sceptyka – kiedy bowiem wpływ środków ostatecznie ustaje, główny bohater w to nie wierzy, co wyraża ze stylistyczną inwencją, nadając rzeczywistej tym razem pielęgniarce imię „Halucyna”. Jako że pacjent nie rokuje poprawy, lekarze decydują się go zahibernować w nadziei na postęp przyszłej medycyny. Tu kończy się pierwsza część tekstu.

Druga, zbliżonej długości, utrzymana w formie dziennika, traktuje o przygodach Tichego po odmrożeniu. Opisuując nową rzeczywistość, Lem daje kolejny popis słowotwórczy:

Pucybuter – automat czyszczący buty; pucybunter – ten sam, gdy się zbuntuje. No, a dziczwały – computerium; a ich kolizje – cyburdy, robitwy;

a elektrotyka! Sukkubatory, konkubinatory, inkubatory, woboty – roboty podwodne.

Robotyka stanowi jednak niezbyt istotny element świata przedstawionego. Jest on określany jako „psywilizacja”, ponieważ wszystko regulowane jest za pomocą „psychemii” – to jest środków kształtujących emocje i myślenie człowieka. Można za ich pomocą przekazywać wiedzę, wywoływać określone przekonania czy uczucia (gdy Tichy wchodzi w związek z niejaką Aileen, ta w pewnym momencie po prostu prosi go, by wybrał dla niej jedną z dwóch tabletek, mającą skłonić ją do określonej decyzji).

Nazwy specyfików znów stanowią okazję do wybuchu humoru językowego:

Wieczór był miły, ale zrobiono mi idiotyczny kawał. Któryś z gości – żebym wiedział, kto! – wrzucił mi do herbaty szczyptę konwertku kredybiliny i doznałem niezwłocznie takiego zachwycenia serwetką, że w głos zaimprovizowałem nową teodyceę. Po kilku ziarenkach przekłętego środka zaczyna się wierzyć we wszystko, co się nawinie – tyżkę, lampę, nogę stołową; intensywność moich doznań mistycznych była taka, że na kolana padłem, by oddać cześć zastawie.

Sielankową wizję wspomaganą chemicznie ludzkości zakłóca jedynie pewien drobny detal – mianowicie wszyscy spotykani przez Tichego ludzie oddychają bardzo głośno, czy wręcz sapią. Mroczną tajemnicę nowego, wspaniałego świata wyjaśnia w końcu Tichemu profesor Trotteler, jeden z uczestników kongresu futurologicznego, również wskrzeszony po latach. Kiedy Tichy wyjawia mu swoje wątpliwości odnośnie funkcjonowania nowego, wspaniałego świata, profesor daje mu „antych, z grupy ocykanów, potężny środek przeciwpowietrzny, pochodna nitrodazylikowa peiotropiny”.

Pod wpływem ocykanu Tichy zdziera kolejne warstwy iluzji. Szczęśliwy i dostatni świat odsłania swoją prawdziwą naturę – ludzie, którzy dzięki chemii myślą, że pływają się w luksusie, w istocie prowadzą trudne życie na zlodowiałej tymczasem Ziemi.

Jest to po prostu świat, w którym żyje grubo ponad dwadzieścia miliardów ludzi. [...] Ostatnie kuropatwy wyginęły ćwierć wieku temu. To trup, tyle że znakomicie zachowany, bo się go wciąż sprawniej mumifikuje – czy też, bośmy się nauczyli maskować tę śmierć. [...] z powodów wyższej humanitarnej natury stosuje się humbug chemiczny, kamuflaż, przystrajanie rzeczywistości w piórka i barwy, jakich jej brak...

Jak widać, powracają obydwa główne wątki części pierwszej – przebijanie się przez warstwy halucynacji oraz diskutowane na kongresie problemy przeludnienia i nieuniknionego upadku ludzkości. Tajemnicze dyszenie, które bohater zauważył wcześniej, okazuje się jedynym widocznym znakiem rzeczywistego wysiłku (np. człowiek, który dzięki psychemikaliom ma złudzenie, że jedzie samochodem, w istocie przecież biegnie). W opowiadaniu występuje jeszcze jedna istotna postać. Symington, demoniczny pracownik Procrustics Inc., z którym Tichy zdążył się zaznajomić, odgrywa istotną rolę w procederze maskowania prawdziwej postaci świata. Początkowo tłumaczy on głównemu bohaterowi: „naszą masą towarową jest zło”, jako że firma produkuje chemiczne symulacje znęcania się nad osobami, do których klient żywi

nieprzyjemne uczucia. Symington pojmując tę pracę wręcz jako dziedzinę sztuki – polegającej na tym, by wyrobić w katującym poczuciu, iż czyni to w imię jakichś wyższych uzasadnień. W finale opowiadania bohater negatywny ujawnia swoją prawdziwą misję – kontrolera iluzji uprzyjemniającej ludzkości kolektywną agonię. Symington mówi o tym z pewną dumą:

Dajemy cywilizacji narkozę, bo inaczej by siebie nie zniosła. Dlatego nie wolno jej budzić. Dlatego i pan do niej wróci. Nie grozi panu nic – to przecież jest nie tylko bezbolesne, ale miłe. Nam jest znacznie trudniej, bo musimy zachować trzeźwość dla waszego dobra.

Ostatecznie jednak i ta koszmarna rzeczywistość okazuje się kolejnym zwidem – Tichy, szczęśliwy, budzi się w kanale, w którym schronił się wraz z innymi uczestnikami kongresu futurologicznego. W ten sposób zamyka się kolejny cykl przywidzeń.

Jerzy Jarzębski bierze pod uwagę możliwość, że przewidywania z Kongresu futurologicznego Lem brał w pewnej mierze poważnie. Nie chodziłoby przy tym o niemożliwe technicznie chemiczne programowanie treści urojeń, lecz o samą tendencję rozwojową, w której ubożeniu świata będzie towarzyszyć ucieczka w rzeczywistość wirtualną. Nie jest to jednak jedyna treść tej książki. Złudzenia Tichego przypominają o eksperymencie myślowym Kartezjusza, w którym wszelka treść doznań zmysłowych człowieka byłaby tworzona przez złego demona. Warunki obrad „rzeczywistego” powieściowego kongresu okazują się zaś mimowolnym proroctwem dotyczącym współczesnych zagrożeń terroryzmem.

Scena, w której prof. Trottelleiner opisuje sposób działania nowej nauki, zastępującej futurologię i zajmującej się tzw. będziejami, może z kolei stanowić delikatną autoparodię metody pracy samego Lema. Profesor prosi bowiem Tichego o podawanie słów, tworzy na oczekaniu neologizmy („Śmietnisko. Śmioty. Dużo śmieci – wszechśmioty. Wszechśmiot! Nader ciekawe”), a następnie dorabia im znaczenia (tu chodziło o teorię upatrującą genezy gwiazd w konieczności spalania odpadków kosmicznych).

W „Świecie nie przedstawionym” autorstwa Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego (Kraków 1974) – czyli w książce niebywale istotnej dla formacji ideowej pokolenia Nowej Fali – Kongres futurologiczny poddany zostaje osobliwej krytyce. Wydaje się, że więcej mówi ona o światopoglądzie krytyków niż o samej powieści. Główny zarzut dotyczy sprzeczności pomiędzy komicznym stylem, obfitującym w humorystyczne neologizmy, a dramatyczną w swej istocie wizją społeczeństwa okłamywanego już nie za pomocą słów, lecz środkami chemicznymi. Na stronie 63 Świata nie przedstawionego pada postulat: „Komizmem nie można zaszyfrować dramatu, dramat trzeba opowiedzieć dramatycznie”. Krytyce poddane zostaje użycie „języka nadmiernie dosadnego i nadmiernie jędrnego”, które ma czynić intrygę jedynie pretekstem dla słowotwórczej inwencji.

Gdyby ze streszczonej wypowiedzi krytyków usunąć elementy wartościujące, to stała się ona nadzwyczaj celnym opisem zamierzeń twórczych Lema. Łączenie groteski z dramatem miało zaś w polskiej literaturze precedens w postaci twórczości Gombrowicza, do którego gawędziarska narracja Kongresu... zdaje się nawiązywać. Nic przeciw tej dwoistości nie miała

na przykład prof. Małgorzata Szpakowska, nazywająca „Kongres... „ „jednym z najśmieszniejszych, ale i najbardziej ponurych opowiadań Lema”.

Izraelski reżyser Ari Folman, autor m.in. „Walca z Baszirem”, pracuje obecnie nad filmem aktorsko-animowanym opartym na „Kongresie...” Fabuła ma ulec znacznym modyfikacjom, między innymi głównego bohatera zastąpi kobieta, grana przez Robin Wright, postarzana rysunkowo w miarę rozwoju akcji. Zdjęcia do filmu będą autorstwa Michała Englerta. W filmie weźmie też udział inna gwiazda Hollywood, Harvey Keitel.